

David
Hagberg



**Punkt
zwrótny**

Tytuł oryginału: *Breaking Point*

© David Hagberg
© 2020 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-49-9

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB
oraz Espadon Publishing Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

David Hagberg

Punkt zwrotny

Przekład: Maciej Kaczyński

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

Xiamen, prowincja Fujian

Chińska Republika Ludowa

Czarny ponton przepływał cicho między łodziami rybackimi, zacumowanymi na noc burta w burtę. Fale, nawet w osłoniętym porcie, dochodziły do metra wysokości. Czterech mężczyzn w pontonie było komandosami tajwańskiej Służby Wywiadowczej; tej nocy szanse na powodzenie akcji były mniej więcej jak jeden do dziesięciu. Szanse na zachowanie niepodległości Tajwanu wyglądały podobnie, pomyślał dowódca oddziału, kapitan Joseph Jiyang. Ostry wiatr, dochodzący w porwach do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, bynajmniej nie ułatwiał im zadania. Groźba wywrotki towarzyszyła im od kiedy opuścili dwunastoosobowy miniaturowy okręt podwodny dwadzieścia mil od Cieśniny Tajwańskiej, zaraz za przesmykiem między wyspą Quemoy i zatoką Sehnua. Mogli też zostać wykryci przez kutry patrolowe, krążące dwadzieścia cztery godziny na dobę wokół portu, podwodne sensory dźwięku umieszczone na dnie zatoki, zainstalowane w nadbrzeżnych bateriach dział detektory na podczerwień, lub przez tysiące par zawsze czujnych oczu. Szacunkowo co piąty obywatel ChRL był informatorem władz. Z prostego rachunku wynikało, że co najmniej sto zakotwiczonych w zatoce łodzi rybackich miało na pokładzie szpiegów.

Xiamen był półmilionowym miastem i zarazem bazą floty Morza Wschodniochińskiego, która, dowodzona z położonego siedemset kilometrów na północ Ningbo, dominowała nad Morzem Wschodniochińskim, a w szczególności nad Zatoką Tajwańską. Baza, dowodzona przez admirała Weng Shi Pei, była portem dla trzydziestu siedmiu jednostek, wśród nich strategicznego okrętu podwodnego klasy Xia, trzech podwodnych okrętów patrolowych o napędzie spalinowo-elektrycznym, między innymi poradzieckich klasy Kilo, dwóch fregat, jednego niszczyciela, oraz rozmaitych mniejszych jednostek, wyposażonych w karabiny maszynowe i torpedy. Główna część floty cumowała w wąskiej zatoce na południowo-zachodnim krańcu rozległego miasta; po północno-wschodniej stronie, obok głównego portu, stacjonowała niewielka grupa lotnictwa morskiego.

Niebo zasnuwały chmury, noc była czarna jak smoła, na wodzie unosiły się cuchnące śmieci, kałuże oleju i mazutu, które przyłgnęły do ich wiosel z superlekich włókien węglowych; używali ich od wejścia do portu, ponieważ korzystanie nawet z wytłumionego silnika było tu zbyt ryzykowne. Nikt nie skarżył się jednak na dodatkową pracę. Przynajmniej nie pozwalała im zmarznąć.

Okrzykli wschodni terminal portu handlowego i wpłynęli do jasno oświetlonego portu wojskowego, kierując ponton ponad zagrodą, mającą za zadanie uniemożliwić infiltrację portu przez obce okręty podwodne. Trzymając się głębokich cieni wzdłuż fregat i kutrów torpedowych, wpłynęli do suchego doku A; według raportu wcześniejszej misji rozpoznawczej, miał on być pusty. Jego masywne, stalowe drzwi były otwarte na oścież, a wewnątrz wypelniała woda.

Siedzący na dziobie Xu Peng Tei sięgnął metalowej drabiny u wejścia do doku, uwiązał do niej ponton i wdrapał się na górę. Stojąc na drabinie, trzy metry nad poziomem wody, rozejrzał się uważnie i dał znak, że wszystko w porządku, i zniknął za barierką. Miał dwadzieścia siedem lat i był najstarszy w grupie; mimo że nią nie dowodził, wszyscy nazywali go Dziadkiem.

Joseph i dwaj pozostali komandosi zdjęli wodoodporne pokrowce z wyposażonych w tłumiki pistoletów maszynowych Sterling kalibru 9 mm, włożyli w gniazda magazynki i przesunęli bezpieczniki, i cicho wspięli się na górę suchego doku.

Natychmiast kucnęli nisko, niewidoczni w ciemnościach dzięki kamuflażowi i czarnym kominiarkom. Joseph spojrział na zegarek. Za trzy minuty pierwsza. Akcja przebiegała zgodnie z planem.

Z ciemności wyłonił się nagle Xu. Kucnął obok nich. On także zdjął osłonę ze swojej broni, ożebrowanie chłodzące lufę oddawało teraz ciepło, wydając ciche trzaski. – Czysto.

– Ilu wartowników, Dziadku? – zapytał Joseph.

– Dwóch, tak jak się spodziewaliśmy. Jeden na zewnątrz, jeden w budce wartowniczej. Załatwieni.

Teraz rozpoczynała się główna część operacji. – Dziesięć minut – powiedział Joseph, i skierowali się prosto ku niskiemu, pozbawionemu okien, betonowemu budynkowi, od którego dzieliło ich sto metrów. Jedyna droga, otoczona przez wysokie na cztery metry ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem, prowadziła przez bramę otwieraną z budki wartowniczej. Patrole krążyły w czternastominutowych odstępach, więc do kolejnego obchodu pozostało dziesięć minut.

Budynek, do którego zmierzali, służył w bazie jako więzienie. W tej chwili trzymano tam tylko jednego więźnia. Władzom ChRL nie zależało na nagłaśnianiu jego sprawy, i był to jedyny powód, dla którego ta nocna akcja miała jakiegokolwiek szanse powodzenia.

Nikomu nie zależy na komplikacjach, pomyślał Joseph. Nie ChRL, a już na pewno nie Stanom Zjednoczonym. Cóż, wygląda na to, że dzisiejsza noc przyniesie im właśnie komplikacje. Joseph oczekiwał, że kiedy Stany zostaną w końcu doprowadzone do punktu zwrotnego, nie będą mogły się cofnąć. W przeciwnym wypadku, z Tajwanu nie zostanie nic oprócz dymiących popiołów i radioaktywnych pogorzeli.

Jednak tej nocy mógł dać głowę, że Stany uratują ich jeszcze raz. Jeśli przez cztery lata w Harvardzie nie nauczył się wiele o Amerykanach, jedno wiedział dobrze: kochają męczenników i uwielbiają swoich bohaterów, ratujących im życie. Superman. To była jedyna prawdziwa rozrywka, na jaką pozwalał sobie w Stanach; w swojej kolekcji miał komiksy o Supermanie, od numeru piątego do dziesiątego, a potem dwunasty, piętnasty, szesnasty i osiemnasty, z lat trzydziestych, a poza tym setkę innych: wszystkie oryginalne i w świetnym stanie. Prawda, sprawiedliwość, amerykański styl życia... W tej chwili raczej tajwański, bo Joseph gotów był prędzej umrzeć, niż poddać się panowaniu komunistycznego kolosa z kontynentu.

Pierwszy ze strażników, z niewielką dziurą po kuli w środku czoła, leżał w ciemności pod ogrodzeniem; ciało drugiego spoczywało w wejściu do budki wartownika.

Lampy świeciły tu bardzo jasno, ale nie słychać było syren alarmujących, nie widzieli też nadbiegających żołnierzy. Czas jednak płynął nieubłaganie.

Zhou Yousheng położył się pod ogrodzeniem i szybko zacisnął cztery boczniki przewodów na przestrzeni półtora metra. Następnie izolowanymi szczypcami przeciął drut między bocznikami i ostrożnie je rozsunął. Mimo że w ogrodzeniu

ziała teraz spora dziura, obwód elektryczny nie został przerwany, tak więc wartownie w bazie nie mogły zostać zaalarmowane.

Zhou ostrożnie przeczołgał się przez dziurę, i kiedy Chiang Kunren połączył znowu przewody i zdjął boczniki, rzucił się do budki strażniczej i zwolnił elektryczny zamek bramy.

Wśliznęli się do środka, usunęli trupy wartowników z widoku i z powrotem zamknęli bramę. Joseph poprowadził dwóch ze swoich ludzi ścieżką wiodącą do wartowni. Zhou pozostał w budce wartowniczej. Wszyscy wyposażeni byli w taktyczne zestawy radiowe ze słuchawkami i mikrofonami. Pojedyncze kliknięcia oznaczało nadchodzące niebezpieczeństwo.

Chiang, ich specjalista od materiałów wybuchowych, umieścił niewielki kawałek wolno palącego się semtexu przy zamku stalowych drzwi. Wyjął z futerału trzydziestosekundowy grafitowy zapalnik, wbił go w plastik, i szybko pokrył ładunek grubą na pięć centymetrów warstwą ognioodpornej pianki, aby wytłumić wybuch.

Zaledwie zdjął rękę z pianki, kiedy semtex eksplodował.

– Pewnego dnia stracisz palce – zauważył Joseph, na co Chiang posłał mu szybki uśmiech.

– Będę musiał wtedy prosić o pomoc za każdym razem, kiedy będę chciał rozpiąć rozporek. Oczywiście, chciałbym, żeby pomagały im kobiety.

Długi, przestronny korytarz prowadził od frontu budynku na jego tyły; po każdej stronie znajdowało się pięć cel. Nic nie zdobiło gołych ścian, nie było nawet numerów nad drzwiami, jedynie z niskiego sufitu zwisało kilka dających przyćmione światło żarówek.

Shi Shizong, w Tajwanie i na Zachodzie znany jako Peter Shizong, trzymany był w ostatniej celi po lewej stronie. Wstał z pryczy, kiedy w małym okienku drzwi pojawiła się twarz Josepha. Był bardzo wątej budowy i wyglądał młodo, nawet jak na mieszkańca kontynentu; dla władz ChRL był jednym z najbardziej kłopotliwych obywateli. Głosił potrzebę wprowadzenia w Chinach demokracji i, z niejasnych nawet dla niego samego powodów, jego przesłanie odbiło się głębokim echem wśród połowy olbrzymiej populacji Chin. Jego słowami przejęli się rolnicy i lekarze, robotnicy i inżynierowie, rybacy, a nawet niektórzy działacze partyjni. Podczas tych trzech lat, kiedy działał i w jakiś sposób wymykał się władzom, przez kraj przetaczały się wielkie fale niezadowolenia, tysiące niewinnych demonstrantów zostało zabitych, a ich domy i majątki konfiskowało państwo; w dwudziestu czterech miastach wprowadzono stan wyjątkowy, i w końcu nawet Zachód zainteresował się tymi wydarzeniami.

Przed trzema dniami odsejja Shizonga skończyła się w małym mieszkaniu w Xiamen, gdzie został aresztowany. Nazajutrz miał zostać przewieziony do niedużego miasta gdzieś w głębi Chin (jego nazwę zatajono), gdzie miał zostać oskarżony o zdradę. Żadnych dziennikarzy, żadnych świadków, żadnej publiczności. Oczywiście miano uznać jego winę i wykonać egzekucję w ciągu dwudziestu czterech godzin od wyroku.

Wkrótce zapomniano by o nim i ideach, które głosił. Właśnie tego potrzebowały komunistyczne Chiny, jeśli Biuro Polityczne miało zachować swoje stolki. I właśnie temu Tajwan chciał, bez względu na koszty, zapobiec. Zjednoczenie z ChRL

oznaczało dla „zbuntowanej prowincji” samobójstwo, natomiast zjednoczenie z demokratycznym państwem chińskim było w przekonaniu Josepha nie tylko pożądaną, ale także wartą poświęcenia dla tej sprawy życia.

– Tutaj – szepnął i pokazał Shizongowi, aby ten odsunął się od drzwi.

Chiang wysunął się naprzód, umieścił mały kawałek semtexu na zamku, nastawił zapalnik na dziesięć sekund i wetknął go w plastikowy materiał wybuchowy. Tym razem nie tracił czasu na piankę; mury budynku w wystarczającym stopniu wyciszą wybuch.

Semtex eksplodował z hukiem. Joseph otworzył drzwi i wszedł do celi. – Jesteśmy z tajwańskiego wywiadu, panie Shizong. Przyszliśmy pana uratować.

Przez krótką chwilę Shizong wahał się, rozważając różne możliwości. To mógł być jakiś podstęp komunistów. – Dokąd mnie zabieracie?

– Do Tajpej.

Na jego twarzy zagościło zrozumienie, uśmiechnął się i pokiwał głową. – To dobrze – powiedział ciepłym tonem. Natychmiast zdobył sympatię Josepha. Był stanowczy i pełen wewnętrznego uroku; on, i tylko on, znał rozwiązanie chińskich problemów.

Miał na sobie ciemne spodnie, ale jego rozpięta koszula była biała – będzie go widać z daleka. Joseph wyciągnął z plecaka czarną bluzę i podał ją dysydentowi.

– Nie mamy dużo czasu. Proszę to włożyć na koszulę.

Xu czekał przy drzwiach wejściowych, kiedy wyszli z celi Shizonga. Dał im znak, żeby się pośpieszyli.

Chiang zamknął drzwi celi, zbił żarówkę nad nimi i dołączył do reszty na zewnątrz. Shizong kończył właśnie zakładać bluzę przez głowę. Noc była cicha, tylko gdzieś z poza portu dochodziły czasem rogi przeciwmgielne kutrów rybackich. Na razie nie słyhać było żadnego alarmu, ale następny patrol miał pojawić się przy bramie za cztery minuty.

Joseph i Xu przynagli Shizonga do pośpiesznego marszu. Chiang zamknął stalowe drzwi i wytarł osmalenia pozostałe po wybuchu. Zamek został zniszczony, jednak z oddalenia uszkodzenia nie było widać. Przynajmniej taką mieli nadzieję.

Zhou otworzył bramę, i kiedy tylko czwórka pozostałych znalazła się po drugiej stronie, wcisnął przycisk zamykający ją, wybiegł z budki i w ostatniej chwili zdołał przecisnąć się przez zatrzasnątą bramę.

Samotny wartownik wyszedł zza rogu pięćdziesiąt metrów od nich. Przebiegli drogę i rzucili się do rowu. Sukinsyn pośpieszył się o dwie minuty, pomyślał gorzko Joseph.

Odłożył na bok pistolet maszynowy i wydobył sztylet. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie musiał zabić wartownika. Bez żadnych hałasów. Inni rozumieli to, i byli gotowi go osłaniać.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim wartownik dotarł do bramy. Mruknął do siebie coś, czego nie rozumieli, i zjrzał do środka. Po kilku chwilach pokręcił głową i ponownie ruszył wzdłuż ogrodzenia, mijając odcinek, który tak niedawno został przecięty i połączony na nowo.

Joseph wypuścił w końcu przytrzymywane w płucach powietrze, schował sztylet i podniósł z ziemi swój pistolet maszynowy.

Jedyną rzeczą, jakiej nie byli się w stanie wcześniej dowiedzieć, było to, jak często wartownik powinien zgłaszać się do ochrony bazy. Jakikolwiek był to czas, teraz musieli się z nim ścigać.

Kiedy wartownik znikł w końcu za rogiem, ruszyli, i pokonali szybko resztę drogi do suchego doku, pochylając się możliwie jak najniżej. Pierwsi zeszli po drabinie Xu i Chiang, za nimi Shizong i Joseph, ostatni w pontonie znalazł się Zhou.

Piętnaście minut później byli już za sieciami przeciwpodwodnymi i kierowali się w stronę portu i kutrów rybackich. Pogoda zaczęła się poprawiać, ale Joseph uspokoił się dopiero kiedy na dobre oddalili się od portu i mogli włączyć silnik.

– Zdaje się, że się wam udało – powiedział Shizong. – Gratulacje, panowie. Ale teraz, jak mówią Amerykanie, zaczynają się prawdziwe kłopoty.

Joseph roześmiał się. – Rzeczywiście – powiedział. – Nie wiedziałem, że mieszkał pan w Stanach.

– To była tajemnica. Spędziłem trzy lata w Krzemowej Dolinie jako szpieg chińskiego wywiadu.

Joseph doszedł do wniosku, że nic nie jest już w stanie go zaskoczyć. – Proszę mi powiedzieć, czytał pan może komiksy o Supermanie?

Dwa miesiące później

Biały Dom

Kirk Cullough McGarvey, zastępca dyrektora do spraw operacyjnych Centralnej Agencji Wywiadowczej, zatrzymał się przed wzmocnionymi tytanowymi płytami drzwiami na trzecim piętrze pod powierzchnią ziemi, pokazał strażnikowi w cywilnym ubraniu swoje dokumenty, mimo iż ten doskonale go znał.

– Dzień dobry, panie McGarvey. Jak tam na górze? – spytał oficer Tajnej Służby.

– Gorąco i duszno, Brian, tak samo jak wczoraj, i tak samo jak będzie jutro.

– Najgorsze miejsce na świecie na wybudowanie stolicy.

– Amen – zgodził się McGarvey. Wszedł do niżej położonego pokoju i zajął miejsce obok Toma Roswella, dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Pięćdziesięcioletni McGarvey z pewnością nie był najmłodszym w historii człowiekiem zajmującym trzecie co do ważności stanowisko w amerykańskim wywiadzie, ale kompetencją i doświadczeniem zebranych w terenie przewyższał wszystkich swoich poprzedników razem wziętych. Pracował dla rządu USA w różny sposób już od dwudziestu pięciu lat; czasami na etacie CIA, czasem jako wolny strzelec. W języku lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czasu apogeum zimnej wojny, był jednak likwidatorem. Zabójcą. Mordercą. Sędzią ostatecznym. Teraz był szpiegiem, który w końcu znalazł się w normalniejszych czasach.

Po obu stronach Atlantyku i Pacyfiku nie było mężczyzny ani kobiety, na których zajrzenie w jego przenikliwe zielone, czasem lekko szarawe oczy, nie wywarłoby wielkiego wrażenia. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, wyrazistą, uczciwą twarz, która niekiedy wydawała się nawet przyjazna, i wciąż utrzymywał dobrą formę fizyczną – pływał lub biegał niemal każdego dnia, i przynajmniej dwa razy w tygodniu ćwiczył z reprezentacją CIA w szermierce. Wrogowie obawiali się go, a przy-